



**MARY
SHELLEY**

FRANKENSTEIN

ANNE
EERHOUT



MARY SHELLEY
NARODZINY FRANKENSTEINA

PRZEŁOŻYŁA OLGA NIZIOŁEK

MARGINESY

Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu
Dutch Foundation for Literature

Nederlands
letterenfonds
dutch foundation
for literature

Mary

COPYRIGHT © 2021 Anne Eekhout

Originally published with De Bezige Bij Publishers, Amsterdam

Published by agreement with Uitgeverij De Bezige Bij b.v. c/o

Booklab Literary Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Olga Niziołek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2024

GODZINA DUCHÓW

To ta godzina. Każdej nocy umiera, jej córka umiera. Ona odkrywa to dopiero rano, choć widziała ją w nocy, leżącą tak spokojnie, z głową pełną snu. Wie jednak, że to musiało zdarzyć się wtedy, w godzinie duchów, bo zawsze się wtedy budzi. Zazwyczaj tylko na chwilę – otula się kołdrą, która zdążyła się ześlizgnąć, wciska nos w ciepłe plecy Percy'ego. On wzdycha przez sen, ona zasypia. Ale czasami wyciąga ją to z łóżka. Nie wie, co właściwie. Nie chce, jest zmęczona, chce spać dalej, niech noc mija, niech kończy się ta godzina, ale już wie – musi poczuć. Każda minuta owej godziny musi parzyć jej skórę. Bo właśnie to sprowadziła na świat. I właśnie to tak szybko zniknęło.

Weranda chroni ją przed wilgocią, a peleryna przed zimnem, ale nieco dalej trwa samozniszczenie świata. Od chwili ich przyjazdu do Genewy dwa tygodnie temu burze i wichury niemal każdego dnia odprawiają ten szaleńczy rytuał. Mary lubi, kiedy błyskawica nie znika od razu, kiedy przeciąga się jak kot i na kilka sekund rozjaśnienia niebo, barwi je na blady fiolet, jakby było płótnem, namiotem rozpiętym nad ziemią, kiedy odbiera prawdziwość rzeczom poniżej, zmienia je w opowieść, a zarazem dodaje im znaczenia – jej bosym stopom na werandzie, chwastom w trawie, wierzbie przy wodzie, Jurze wznoszącej się po drugiej stronie jeziora, łódce, która kołysze się w misie światła.

Na przeciwległym brzegu, na zboczu wzgórza, u Albego i Johna pali się słabe światelko. To uspokaja. Ona może i co noc budzi się o trzeciej nad ranem, ale za to Albe jeszcze się nie położył. Trzyma wartę. Z pewnością wbija wzrok w papier, po którym chaotycznie tańczy jego pióro, wyprowadzając na świat wszystko, co w nim żyje.

Mary obraca się i kołysze na palcach. Po ciemku nie udało jej się znaleźć trzewików. Mały William ma lekki sen – choć grzmoty mu nie przeszkadzają – a jej przyrodnia siostra Claire wreszcie zasnęła. I to we własnym łóżku. Claire jest niczym małe dziecko, Percy trzyma ją za rękę jak ojciec. Nie, nie jak ojciec. Zdecydowanie nie jak ojciec.

Błyskawica przecina niebo, a grzmot niesie się po powierzchni wody, między czubkami drzew, po skórze Mary. Tutejsze burze są inne niż w Anglii. Przytomniejsze. Żywsze. Prawdziwsze. Jak gdyby mogła dotknąć światła, trzymać je, jakby to ono trzymało ją. Ryk, głęboki pomruk burzy ma w sobie coś cielesnego, jakby mógł w każdej chwili dołączyć do żyjących. Jakby mógł wejść do jej klatki piersiowej, serca, krwi. Wydaje się, że nie ma końca dniom przypominającym noc, kiedy rzadko pokazuje się słońce, ogród jest bagnem, a natura zamiera. Czasami mówią do siebie: może to koniec świata. Sąd ostateczny. Ale potem się śmieją. Każde z nich wie przecież, że Bóg istnieje wyłącznie w snach i dziecięcych wierszykach. Mary zaciera ręce. Chłód podgryza ją w stopy. I czasami jeszcze wtedy – myśli – kiedy ktoś się bardzo, bardzo boi.

Po powrocie do łóżka znowu nie może zasnąć. W jej ciele zagnieździł się chłód i już nic – żadna kołdra, wyobrażenie ognia na kominku, ciepłe plecy Percy'ego – nie da rady jej rozgrzać.

To przez Claire, niewiele młodszą od niej. Mary myśli czasem, że tamtej dobrze by zrobiło, gdyby w większym stopniu postrzegala ją jako swoją prawdziwą siostrę. Ale z każdym dniem coraz ciężiej jej akceptować Claire, nie mówiąc już o pomaganiu jej, pocieszaniu czy zabawianiu. Wygląda na to, że mężczyźni mniej irytuje zachowanie Claire. Albe uznaje je nawet za typowe dla kobiet, cokolwiek by to miało znaczyć. Mary nie zrywa się przecież w środku rozmowy,

by następnie z łkaniem rzucić się na kanapę, zapewniając, że nie, naprawdę nic się nie dzieje. Żadne zachowanie typowe dla kobiet. Zachowanie typowe dla Claire. To łechcze Percy'ego i Mary o tym wie. Łechcze go, gdy Claire rzuca mu się na szyję, gdy prosi, by czytał jej poezję, póki nie zaśnie, gdy zaśmiewa się z jego żartów z odrzuconą do tyłu głową, ukazując bladą skórę podbródka i tego miejsca dużo, dużo niżej, gdzie jej piersi proszą o spojrzenia, dotyk, uwagę. Claire nie potrafi żyć bez uwagi. Gdyby ją przez trzy dni ignorować, pewnie by umarła. Odziedziczyła tę chorobę po matce, po Mary Jane. Mary wierzy, że jej ojciec nie miał pojęcia, jak histeryczna, próżna i władcza jest Mary Jane, aż do chwili, gdy ją poślubił, a ta razem z córką Claire się do nich wprowadziła. Odkąd Mary pojęła rozumem, że nie ma matki, ta świadomość stała się dla niej uosobieniem smutku. Cały smutek przybrał właśnie tę formę, odbijał się w takim lustrze. Ale gdy jej ojciec ożenił się kolejny raz, smutek stał się wagą, której szalki odpowiadały na pytanie: mieć taką matkę czy nie mieć żadnej? Wnioski zawsze sprowadzały się do tego samego: żadnej. A właściwie: żyć wyłącznie z opowieściami o swojej nieżyjącej matce, z wiszącą nad ojcowskim biurkiem podobizną kobiety, która była ważna dla tak wielu: tak bystra i odważna, tak wolna w życiu i poglądach. Już nie żyła, Mary jej nie poznała, lecz była wszędzie. A co więcej: była idealna. Nigdy nie rozgniewałaby się na Mary. Nigdy nie potępiłaby jej decyzji. Mary nigdy nie musiałaby się wstydzić własnej matki ani obawiać, że straci jej miłość. Matka zawsze by ją kochała – jak na łożu śmierci, kiedy trzymała Mary w ramionach niczym lalkę. Czysta, pełna, nieskrępowana miłość nie miała cienia szansy na osłabnięcie albo splamienie codziennością. Taka właśnie była matka w wyobrażeniach Mary. Właściwie perfekcyjna. Pomimo tego – i dzięki temu – że już nie istniała.

Grzmi. Percy z jękiem obraca się na drugą stronę, wbija kolano w jej bok. W księżycowym świetle wpadającym przez szparę w okiennicach Mary widzi twarz swojego żarliwego, pięknego elfa. Nie zna żadnego

innego mężczyzny o równie delikatnych, nieledwie dziewczęcych rysach i półprzezroczystej skórze niczym biały motyl o jedwabistych skrzydłach, żadnego, który tak by ją pociągał. Mary jest miłością jego życia. Oczywiście o tym wie, ale wcale nie jest jej łatwo. Filozofia życiowa Percy'ego nie do końca stanowi jej filozofię – może w teorii, ale z pewnością nie w praktyce – co raz za razem wystawia ich uczucie na próbę. Może dałoby się jeszcze znieść, że Percy od czasu do czasu kocha inną kobietę. Może. Ale widzieć, że Percy w ogóle się nie przejmuje, a nawet zachęca ją do dzielenia łoża z innym – to dotkliwie rani jej duszę. Jednocześnie Mary wie, jak Percy na nią patrzy podczas jej rozmów z Albem o jego wierszach czy o jej ojcu. Właśnie w takich chwilach odzywa się u niego zazdrość, myśli Mary, a w oczach widać chłodny strach. Jego zazdrość nie ma wówczas nic wspólnego z nią samą – Percy nie obawia się, że Mary wybierze Albego. Boi się, że Albe przedkłada ją nad niego. Że wielki, dziki poeta lord Byron bardziej interesuje się Mary niż Percym Shelleyem, który jeszcze sporo się musi nauczyć. Czy na pewno nie brakuje mu talentu? Daru słowa? Percy pokłada nadzieje w Albem – czy ten pokaże mu drogę? Czy mógłby dawać mu rady, zostać jego mentorem, a może nawet przyjacielem? Z rzadka, gdy Percy jest taki niepewny – oczywiście nic jej nie mówi, ale Mary widzi to po nim, dostrzega nikłą nadzieję w jego oczach, dziecinną niecierpliwość ruchów – ona przez moment boi się, że wcale go nie kocha.

Delikatnie całuje go w policzek. Percy znów pojękuje i się odwraca. Znika kolano uciskające jej bok. I wreszcie zaczyna ogarniać ją senność. Mary czuje, jak sen rozpościera ramiona niczym skrzydła, ciasno ją nimi obejmuje – bezpiecznie, nieprzerazająco – i unosi ze sobą jej świadomość.

*

Wygląda na to, że William, który nie najlepiej zniósł drogę – cóż, dzieci nie zostały stworzone do podróży – w Maison Chapuis czuje

się jak u siebie. Pokoje są przestronne i jasne, wysokie okna wychodzą na duży ogród, jezioro i Jurę po drugiej stronie. I oczywiście na deszcz. Na niebo barwy szarego kamienia. William jest jeszcze za mały, żeby raczkować. W przeciwnym razie bez wątpienia musiałyby cały dzień podążać za nim przez wszystkie pokoje, utrzymywać go z dala od kominka, biblioteczek, kantów stołów. Jednak Willmouse dopiero co nauczył się obracać z pleców na brzuch i na razie na tym poprzestanie. Ma pięć miesięcy, a Mary cieszy się nim każdego dnia. Mimo to nie potrafi nie myśleć o tamtej, pierworodnej. Gdyby żyła, kręciłaby się tu. Krótkie pulchne nóżki, bosc stópki drepczące z dywanika przed kominkiem na błyszczące drewniane deski, przechodzące przez próg, tupoczące na korytarzu, w stronę schodów, nie, tam nie wolno, chodź tu, daj mi rączkę, dobrze. Zobacz, to twój braciszek, pogłaszcz go.

– Wszystko w porządku? – Claire z rozmachem siada na sofie obok Mary. William, który przed chwilą zamknął oczy, znów je otwiera. Claire łaskocze go pod brodą. – Siedzisz i gapisz się przed siebie.

Mary kiwa głową. Po tylu latach Claire dalej nie rozumie, że Mary czasem odpływa myślami. Nie są však takie same ani pod względem krwi, ani temperamentu, ani empatii. Inaczej bywało tylko czasami, gdy przypadał im ten sam los, gdy wybuchały niepowstrzymanym śmiechem na widok matki Claire i ojca Mary porządkujących gorączkowo dom przed przybyciem gości. Tacy potrafią być tylko dorośli – myślały, odczytywały tę myśl ze swojego spojrzenia – my nigdy się takie nie staniemy. Ale to było dawno temu. Już wieki nie widziała ojca i Mary Jane. Wszystko jest trudne od czasu, gdy zaczęła być z Percym, od czasu jej małej dziewczynki.

– Jestem trochę znużona – odpowiada Mary. – Jak się bawiłaś u Albego?

– Wyśmienicie. – Claire nawija loczek na palec. – Zaprosił nas na kolację. Bez wątpienia będą krakersy z fasolą.

Zwyczajne żywieniowe Albego nie zachwycają Claire, podobnie jak dieta Mary i Percy'ego. Brakuje jej mięsa.

– Zawsze możesz nie iść – rzuca Mary i natychmiast tego żałuje.
– Ależ skąd! – Claire szeroko otwiera oczy. – Albe chce, żebym przyszła. Tak powiedział.

Mary wstaje. William znowu zapadł w sen. Ta jego śliczna, blada buzia. Tylko nie blednij mi tu za bardzo, Willmouse, szepcze Mary w myślach. W milczeniu wychodzi z pokoju, by ułożyć Williama w kołysce. Śpij smacznie. Zaraz znowu się obudzisz.

*

– Mary. – Albe ją obejmuje. Pachnie rumiankiem i czymś słodkim, jego szorstki zarost muska jej policzek. – Cieszę się, że przyszłaś. Bardzo chcę dać ci coś do przeczytania.

Przelotny uśmiech Percy'ego pokazuje Mary, że on do nich nie dołączy, bo nie potrafi, i że go to drażni. Percy rusza w ślad za Claire do salonu. Albe sięga po świecznik stojący na komodzie i prowadzi Mary za rękę korytarzem wiodącym do ciemnego pomieszczenia na tyłach domu. Villa Diodati jest sporo większa od Chapuis, które jest za to ładniej położone, myśli Mary. U Albego jest ciemniej, budynek otaczają drzewa o gęstym listowiu, przypominające odwiecznych ponurych wartowników. Wewnątrz nawet za dnia trzeba palić świece albo lampę. Futryny, ościeżnice, boazerię i niezliczone biblioteczki wykonano z mahoniem, a przez całą szerokość pokoju ciągną się dywany – czerwone i niebieskie, w podobnie ciemne desenie. Także w gabinecie Albego dominuje brąz. Światło zmierzchającego dnia wpada do środka przez pędy bluszczu pnące się po oknach. Albe odstawia świecznik na biurko i zgarnia rozrzucone kartki.

– Podejdz, proszę. – Kiwa na Mary zza biurka. – Pracuję nad nową częścią *Wędrówek Childe Harolda*. Sądzę, że będzie dobra. Byłbym zobowiązany, gdybyś ją przeczytała i powiedziała mi, co myślisz.

Coś w jego doborze słów zdradza, że Mary nie musi poczytywać tej prośby za zaszczyt, ponieważ Albe uważa ją za równą sobie. Przynajmniej jeśli chodzi o krytykę literacką.

- Dobrze - odpowiada. - Z przyjemnością.

Albe zwija kartki.

- To odpisy. Nie krępuj się na nich notować. - Podaje jej rulon. - Shelley też może przeczytać. Jeśli będzie miał ochotę.

Percy powie jej, że nie chce tego czytać. A jednak przeczyta.

- Mary. - W świetle świecy jasnobrzęde oczy Albego wydają się głębsze. - Pragnąłbym też przeczytać kiedyś coś twojego. Coś, co powstało w twojej głowie, nie poza nią. Prawdziwe opowiadanie albo wiersz.

- Może jestem taką pisarką jak moi rodzice - odpowiada. - Potrafię pisać tylko o tym, co prawdziwe.

- Jestem pewien, że nie. - Albe uśmiecha się. - Zresztą czy istnieje wielka różnica między prawdziwym a nieprawdziwym?

*

Percy siedzi przy stole u jej boku. Po drugiej stronie Mary ma Johna, przyjaciela i lekarza Albego. Claire - oczywiście - zajęła miejsce między Percym i Albem, który ją głównie ignoruje. Tylko czasami z nią rozmawia; wtedy gdy zdarzy mu się wypić sporo wina, coś zapalić albo po prostu dopisuje mu humor. Czasami ją całuje i na trochę gdzieś znikają. W takich chwilach Mary stara się nie zwracać uwagi na Percy'ego, bo choć ten bynajmniej nie zachowuje się inaczej niż zwykle, to każdy jego ruch zdradza niepokój wywołany pewną złożoną utratą. Nie wie, jakiej właściwie utraty obawia się Percy. Może podobnej do tej, której obawia się ona sama.

Odkąd Percy ujrzał, jak Mary wchodzi do salonu z Albem, trzymając w dłoni zrolowane kartki, ze wszystkich sił stara się omijać ją wzrokiem i zajmować się Claire. Sęk w tym, że gdy człowiek zaczyna poświęcać uwagę Claire, ta już nie daje mu spokoju i łatwo można zaplątać się w plotki o wspólnych znajomych z Londynu i opowieści o dojmującym lęku przed najróżniejszymi rzeczami, jakie wywoływały w niej panikę jeszcze w małości, a z którym to lękiem do

dzisiaj sobie nie poradziła: przed diabłem, czarownicami, znakami w ogniu, znakami w chmurach, szeptami niesionymi przez wiatr. Czasami Mary myśli, że Claire się tym rozkoszuje. Że pocieszenie uważa za nagrodę, że lęk jest tego wart.

– Adeline dostała na targu szparagi – rzuca niesamowicie ożywiony Albe.

Szparagi są dobrze przyprawione, ale tykowate, co budzi lekkie rozbawienie. John szczerzy się do Mary. Adeline potrafi wyśmienicie przygotowywać mięso, jak powiedziała Albemu, gdy ją zatrudnił jako kucharkę i gospodynię. Na szczęście umie także piec chleb, a wina im nie brakuje. Albe dolewa, gdy tylko któryś kieliszek zostanie opróżniony do połowy.

– Jak się miewa William?

Mary nie wie, czy Johna naprawdę to obchodzi, ale zadaje jej to pytanie niemal co dzień.

– Ach, William jest taki uroczy! – wykrzykuje Claire. – Uśmiechnął się dzisiaj do mnie.

– A który mężczyzna by się do ciebie nie uśmiechnął?

Mary nie sądzi, aby John mówił szczerze ani by kpił. Taka uwaga od każdego innego mężczyzny wywołałaby u Mary irytację – ale nie od Johna, który potrafi zjednywać sobie ludzi. Doskonale wie, co powiedzieć i jakim tonem.

– Bogu dzięki, wcześniej dziś zasnął – odpowiada Mary. – Znaleźliśmy opiekunkę do dziecka, Elise.

– Doskonale – rzuca Albe.

– Właściwie nas na to nie stać, ale mniejsza. – Percy bierze łyk wina, nie patrząc na Mary.

– Niech to będzie inwestycja w przyszłość Mary – mówi John. – Jak ma pisać, skoro dziecko ciągle domaga się uwagi?

Claire ochoczo potakuje.

– Nie narzekaj tak, Shelley, wyglądasz jak stary dziad. Jesteśmy w Szwajcarii, rozejrzyj się wokół! – Albe wyrzuca ramiona w górę. – Jesteś tu z żoną i dzieckiem. Ze mną.

Śmieją się, Percy także, ale Mary nie sądzi, aby Albe chciał zażartować.

– Dałem twojej żonie coś do czytania. Byłbym zaszczycony, gdybyś też zechciała zerknąć.

Niesamowite, jak zmienia się spojrzenie Percy'ego, jego twarz i postawa. W ułamku sekundy cały się rozchmurzył; humorzastego mężczyznę zastąpił wyczekujący, wdzięczny chłopczyk. Mary czuje ulgę połączoną z rozczarowaniem. Albem, Percym albo sobą.

Po posiłku wracają do salonu, gdzie trzeba porządnie dołożyć do ognia. Także tego wieczoru szaleje burza. Mary odczuwa pierwsze uderzenie tak, jakby ktoś ścisnął jej serce.

– Niczego dobrego to nie zwiastuje – zauważa John, wyglądając na zewnątrz.

Za oknem się kotłuje, szarość nieba przechodzi w granat, czerní i na powrót szarość. Niedługo zniknie ostatnie światło dnia. Deszcz zacina w szyby jak bicz. Elise zostanie z Williamem aż do ich powrotu. Myśl, że leży zapłakany w kołysce, niesłyszany przez nikogo, a jego krzyk jest porywany przez wiatr, wystarczy, by zakłuło ją w klatce piersiowej. Już nigdy nie będzie tak jak wtedy, powtarza sobie Mary. Teraz zawsze ktoś przy nim jest. By uchronić go przed miękkim i bardzo nagłym zniknięciem.

Znowu dolewają wina, lecz tym razem – jak ostrzega John – z dodatkiem laudanum. Jest lekarzem, zatem powierzają mu przygotowanie trunku. Mary wie, że Sam Coleridge, dobry przyjaciel jej ojca, często raczy się tym napitkiem i chwali go sobie, kiedy pisze, więc jest dość zaciekawiona. Nie pamięta, aby kiedykolwiek piła tę mieszankę, choć dawniej często chorowała. Gorzki smak uwalnia nieokreślone wspomnienie czy raczej obraz jak ze snu: dłoń sunącą w jej stronę po jedwabnej pościeli. Percy i Albe są pogrążeni w rozmowie o elektryczności. Siedzący przy niej Percy bezwiednie gładzi ją po ramieniu, zaśłuchany w słowa Albe, który rozprawia o żabach ożywianych za pomocą galwanizmu.

- Siła życiowa – powtarza Percy, spoglądając na ogień. – Oto dowód, czyż nie?

- Dowód czego? – pyta John.

- Tego, że nie może istnieć żaden Bóg. W obliczu siły życiowej, którą człowiek może sobie podporządkować, istnienie Boga byłoby nielogiczne, jeśli nie niemożliwe.

- Nonsens – odpowiada John. – To nie dowód.

- Gdyby istniał Bóg, owa siła i moc jej przyznawania należałyby wyłącznie do niego, czyż nie?

Percy dostaje drugi kieliszek wina wzmocnianego laudanum.

- To wciąż nie jest dowód – oponuje John. – Twoje poglądy na temat tego, co należy do Boga, nie stanowią nauki.

- Słuchaj mojego doktora – wtrąca się Albe – bo doktor Polidori wie wszystko.

- Wcale nie wiem wszystkiego – ciągnie John zdecydowanie zbyt poważnym tonem. – Ale wiem, co to takiego dowód. Jeszcze wina?

Mary kiwa głową, bo czuje, że laudanum zaczyna działać, i tym samym zapomina jego smak. Zapada się nieco głębiej w poduszki na sofie.

Claire z szeroko otwartymi oczami pólleży na szezlongu przy kominku. Nie da się po niej poznać, czy słucha. Gdy od czasu do czasu za jej plecami niebo przecina błyskawica, podskakuje, jakby ktoś ją lekko poraził.

- Claire już wystarczy – stwierdza John.

Siada u stóp Mary na dywanie, na poły opierając się o jej nogi, co wygląda niemal jak przyjacielski gest, gest przyjaźni, który nagle ją rozczuła.

- Ale... – Albe nachyla się ku nim – ...brak dowodu na istnienie Boga nie oznacza jeszcze, że Bóg istnieje. Uznajmy zatem oficjalnie, że Boga nie ma.

- Co by się zresztą zgadzało – mamrocze Percy.

Odpina sprzączki i zdejmuje trzewiki. Kładzie nogi na kolanach Mary, głowę zaś na podłokietniku.

Odkąd to wszyscy zachowujemy się tak swobodnie? – zastanawia się Mary. Nagle czuje się stara i staroświecka. Też chce zrobić coś dziwnego.

– Tak czy inaczej – ciągnie Albe, wyławiając malutką fajkę z kieszeni marynarki – bardzo ciekawa jest idea, jakoby ludzie mogli za pomocą elektryczności samodzielnie wytwarzać siłę życiową. Ożywiać martwą materię. Wyobraźcie sobie: oto świętej pamięci babka wraca do życia.

Albe szeroko się uśmiecha, jednak Mary nie myśli o babkach. Czy mowa o śmierci, wojnie, winie czy naturze, jej umysł zawsze potrafi znaleźć ścieżynkę prowadzącą do jej małej dziewczynki, do jej pierwszego dziecka. A gdy zastanawia się, czy chciałaby, aby to kiedyś minęło, nie zna odpowiedzi.

Mężczyźni dalej rozmawiają, ale ona już nie słucha. Nie jest w stanie. Wsunęła dłoń we włosy Johna. Myśli straciły logiczną kolejność, brak im początku, brak końca, nie mają przyczyny ani konieczności istnienia. Są, jakie są: luźne i bezsensowne, a mimo to oszałamiające. Pęknięcie szkła, żalostny krzyk czegoś niewyobrażalnego, ryba wielka niczym statek, światło księżycy sączące się przez szczeliny, głowa, która budzi niewymowny lęk, wąż, oślizgły jak galareta i wymykający jej się z rąk. Ostatecznie wszystko się z nich wymyka. Bo tak to właśnie jest.

W pewnym momencie tego wieczoru Percy ją całuje – przy wszystkich. Bez jasnej przyczyny – albo może po prostu przez chwilę była nieobecna myślami. Claire siedzi na kolanach Albego i całuje go po szyi, podczas gdy ten roztargnionym gestem wodzi dłonią po jej biodrze; w drugiej trzyma kieliszek i niemal bezustannie popija małymi łykami. John stoi przy oknie i patrzy na zewnątrz. Pomiędzy sylwetkami drzew błyskawice rozświetlają niebo, czasami nawet na parę sekund, przez co świat na powrót zyskuje ową cichą obecność, jakby uniesiono zasłonę rzeczywistości i Mary na moment mogła ujrzeć świat za nią: świat, w którym rozum nie jest w stanie utrzymać

na dystans niczego, żadnego wspomnienia, żadnego zagrożenia, żadnego ducha.

Percy całuje ją w policzek, skroń, czoło i nos. A potem, długo i niespiesznie, w usta. Mary jest przekonana, że właściwie była na niego zła, ale nie pamięta już, z jakiego powodu, i czuje jego zapach – pomarańczowy, a jednocześnie korzenny – i oddaje pocałunek swojemu ukochanemu elfowi, swojemu niepewnemu, marudnemu, wspaniałemu poecie. Niejasne jest, co dzieje się potem. Kochają się albo razem zasypiają i śni jej się, że się kochają. Niebo jest czarne, burza ustała. Ktoś stoi pod oknem i woła ją po imieniu, które nie brzmi jak jej imię. Dzięki temu Mary poznaje, że śni – bo ten, kto ją woła, nie istnieje.

W nocy Mary wydaje się, że słyszy swoją małą dziewczynkę. Płacze. Zawodzi. Poznaje ją, wie z całą pewnością, że się pomyliła: ona żyje! Oczywiście, że żyje. Żyła przez cały ten czas, przez te długie miesiące. Ależ z niej zła matka – jak mogła myśleć, że jej dzieciątko umarło! Jednak ten czas minął, musi ruszyć do swojej małej Clary. Musi podać jej pierś, zajrzeć głęboko w niebieskie oczy, bez końca ją tulić, tak mocno, żeby żadna z nich nie mogła oddychać. Inaczej – jak wie – wymknie jej się, o nie, już się wymyka. W szczelinach rozbudzenia zaczyna pojmować: o Boże. Ten świat. Boże. I znowu ją traci.

Dźwięk, który wyrwał ją ze snu w tej godzinie duchów, jest niepokojący sam w sobie. Strząsnęła z siebie sen, półsen. Nadal jest w Diodati. W pokoju pali się samotna świeca, w kominku dalej słabo żarzą się węgielki. Mary siada z wygiętą szyją na sofie, na której leżała pod pledem, i próbuje pojąć, co się dzieje. Dźwięk dochodzi z góry. Ktoś płacze i krzyczy ochryłym głosem. Mary wchodzi ze świecą po szerokich schodach. Czy to Claire? Znowu myśli to, co tak często przechodzi jej przez głowę, gdy budzi ją napad Claire: trzeba było jej nie zabierać. Tyle tylko, że właśnie Claire wpadła na pomysł spędzenia lata tutaj, blisko Albego, z kolei Percy uznał to za szansę

poznania pisarza. Od półpiętra Mary kieruje się słuchem. W jednej z sypialni pali się słabe światło: ledwo pełgający kaganek. Claire siedzi na łóżku przy ścianie, ma podciągnięte nogi i nieład na głowie, trzepocze powiekami i skubie dłońmi suknię. Percy, wyciągnięty na boku, leży obok, trzymając dłoń na jej brzuchu. Wpatruje się w nią i szepcze rzeczy nieprzeznaczone dla uszu Mary – czy też takie, których jej uszy zwyczajnie nie słyszą. Stoi w drzwiach, Percy jeszcze jej nie spostrzegł, a kto wie, co takiego widzi Claire. Gdyby ktoś spytał Mary, czy Claire nie robi tego wszystkiego z odrobiną premedytacji, jednego dnia odpowiedziałaby inaczej niż drugiego. Czasami Mary czuje wobec niej szczerą litość, wierzy, że Claire pada ofiarą samej siebie. A czasami wierzy, że sama jest jej największą ofiarą.

– Nie chcę tego widzieć! – krzyczy Claire.

Wbija wzrok w okno, za którym nie ma nic; okiennice są zamknięte. Zaciska palce niczym szpony. Usiłuje coś schwycić, ale jej dłonie trafiają na powietrze.

– Wszystko cieknie – oznajmia schrypniętym głosem. – Nic nie jest takie, jakie było, Perce. To prawda! Już nie mogę.

Szłocha wysokim, warczącym tonem. Hiena, myśli Mary.

Percy siada i obejmuje tamtą, która zwisa w jego objęciach jak lalka, ze wzrokiem stale utkwionym w oknie. Percy z zamkniętymi oczami głaszcze ją po plecach, całuje jej rozczochrane włosy.

– Ja już nie chcę – płacze Claire. – Ja już po prostu nie chcę.

Mary się obraca. Nie przeszkadza jej to. Wszystko jest w porządku. On tylko pociesza tamtą, zresztą który mężczyzna pragnąłby chorobliwie złąknionej kobiety – ale jednak zaczyna ją boleć brzuch, ten twardy, kamienny ból jest jednocześnie wściekłością. Mary wie, że to nie wina Percy'ego, lecz Claire. Wraca na sofę i akurat w chwili, gdy jej myśli stają się odrobinę spójniejsze, czuje, że musi iść za potrzebą. Na korytarzu, w drodze do ustępu, jakiś cień przypiera ją do ściany. Albe. Pozwala mu, bo wie, że nic takiego się nie dzieje. Albe jest pijany i chce jej coś powiedzieć. Albe robi to, co mu się podoba. Albe jest jej przyjacielem.

- Wiesz, dlaczego ci to dałem, prawda?

Oddech omiatający jej twarz jest odrażający, ma zapach dymu ze świecy albo owczego łąjna. Mary próbuje lekko odepchnąć Albego.

Ten delikatnie odwzajemnia pchnięcie.

Mary kiwa głową. Coś jej świta, ale wydaje się odległe i nieistotne. Teraz także on potakuje, zamykając oczy. Zaczyna nucić. Bardzo cicho. Mary nie rozróżnia słów, ale przypominają brzmieniem kołysankę. Albe stoi tak i stoi, ręce oparte o ścianę, ramię przy jej ramieniu, jego oddech muska jej ucho. Nagle Mary czuje, jak coś w jej głowie się obluzowuje. Z lekkim trzaskiem odczepia się, koziołkuje w dół, przez jej gardło i żołądek do podbrzusza. Leży tam, ciepłe i nieustępliwe. Powinna wiedzieć, co to takiego.